

ŁAN MŁODZIEŻY

«MŁODOŚCI, TY NAD POZIOMY WYLATUJ!»

Rok IV. Nr 51.

PISMO KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ - WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA - REDAKCYA I ADMIN.: KRAKÓW, BATOREGO 8.

RYS. A. GRAMATYKA - OSTROWSKA

KRAKÓW. ROK IV. — NR. 3. 15 MARCA 1911.

OGÓLNEGO ZBIORU NR. 51.

ŁAN MŁODZIEŻY

PISMO KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

WYCHODZI 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA. — REDAKCYA I ADMIN.: KRAKÓW. BATOREGO 8.

Prenumerata wynosi: W Krakowie i Galicyi rocznie 5 kor., pojedynczy numer 50 hal. Z wysyłką pocztową 6 kor., pojedynczy numer 60 hal. — W Poznańskiem 6 M., pojed. numer 60 fen. — W Królestwie Polskiem i Ces. ros. 3 rs., pojed. numer 30 kop. — W Stanach Zjedn. p. Am. 1 dol. 50 cent., pojedynczy numer 10 cent. — We wszystkich innych krajach 7 franków, pojedynczy numer 70 cent.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Niedostatki mundurkowych pancerzy.

Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych obradowało w ubiegłym tygodniu nad zgubnym wpływem uniformów gimnazyalnych, przypisując im donżuaneryę, lalkowatość, próżność, płytkość i inne ości naszej młodej Polski. Przypuszczam, że przed kilkunastu laty, z równym zapałem, może nawet i ci sami wychowawcy, głosowali za mundurkami, obiecując sobie, że ten znak zewnętrzny, wewnętrznej karności, władzy, a poniekąd i wiedzy szkolnej, zrobi cud, i przemieni od bluzy do podszewki, od podszewki do bielizny, od bielizny do naskórka, mięśni i serca gimnazyalistów i realistów. Oczekiwania zawiodły — cud się nie pojawił, i owszem: bakcyle mundurkowe przegryzły wszystkie podszewki i zatruwają w najlepsze serca i mózgi wielu.

Rzecz prosta.

Gdybyśmy najprzedniejszej roślinie: (chłopcu) zapewnili wazon, wytrzymujący wszystkie krytyki wygody i piękna (mundur szkolny) i wystawili go na dobroczynne same przez się skutki słońca i deszczu pór roku: (ośmiu lat gimnazyalnej łaciny, greki, historyi, propedeutyki, trygonometryi itp.) jeszcze, roślina okryje się pyłem i robactwem, będzie podsychać i marnieć, jeżeli każdy ogrodnik-nauczyciel do wazonu malowanego pudeł szkolnych, do ziemi i nawozu nauki, nie doda troskliwego oka miłości dla każdej jednostki z osobna, i w setkach osobników, na pierwszy rzut oka, nie dostrzeże zwiędnięcia suchego listka, pasożyta, jeżeli

nie zbada przyczyn i nie usunie ich z pieczą bezwzględną, jakby nie miał na głowie nic innego, prócz tej sprawy. — Wówczas będą zdrowo i dorodnie wyglądały nasze umundurowane uczelnie, wtenczas będzie można, jak w Anglii, nawet pozwolić zdjąć chłopcu surdut na lekcyi, bo choć rękawy od koszuli będą białe, i szyja odkryta, młodzież talizman karności będzie miała w sobie. Sądzę, że na względną bezskuteczność mundurka składają się w równej mierze nauczyciele, rodzice i młodzież. Krawców zaś zupełnie należy uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności.

Nauczyciele — bo się przepracowują; prócz szkoły — przyjmują moc zajęć, by zarobek uboczny pozwolił im dać więcej wygody rodzinie, by mogli jak najprędzej założyć sami dom; inni, by podróżować, kształcić się dalej, dążąc ku docenturze. Rodzice niektórzy grzeszą zbyt pobłażliwą miłością, pokrywając plamy mundurka, nie wglądając, po jakich norach one się wycierają, zamiast czuwać, aby mundurki nie chodziły drogami błota i zarazy.

Młodzież winna również i wiele. — Przypisuje sobie Samsonowe siły, a daje się wodzić Dalilom. Pozuje na Herkulesów — a często przędzie u stóp Omfali przydrożnej; mówi, że kocha kraj, a wyślizguje się od roboty, od ćwiczenia w przełamaniu się, choćby słuchając przykrego regulaminu. Zamiast wyławiać w życiu studenckiem spartańskie próby: jakby nie pisnąć z bólu: nie skrzywić się w zmęczeniu, jest ciężka, nawet do zabawy, o ile ta nie jest piłką nożną lub bostonem.

Cóż więc robić ma ta młodzież, która ciągle sama nad sobą obraduje, i nad którą tyle radzi osób i instytucyj?

Ma rosnąć na nauczycieli ofiarnych z siebie, którzy wnikają po ojcowsku w dusze swych uczniów, są wymagający, tępią kłamstwo, chronią od zepsucia i żyją oszczędnie, by od młodzieży, sobie powierzonej, nie odbiegać, ale żyć z nią i dla niej. Młodzież nie ma straszyć swym mundurkiem matki ani ojca, ale uznać ich życiowe mądrość, złotymi paskami nie ostemplowaną, i nietylko nie wodzić ich na pokuszenie wykrętów i ulg co krok żądanych od szkoły, ale dociągać wolę z całych sił do milczenia, pełni pracy, rachunku ścisłego z czasu, grosza, słów, myśli i uczuć.

Zostawmy mundury — na pomoc karności, a od wewnątrz zmieniajmy w sobie człowieka. Nie przypisujmy mierze krawca siły magicznej, skoro wiemy, że miara Fidyasza nawet, to też prawie i jedynie koncentracya długa cierpliwości, piękna celu i geniusz wytrwałości.

Jeżeli tej zbawiennej tresury nie będzie, zniesienie mundurów będzie jedną więcej nieudałą próbą poprawy etyki u młodzieży, jako oczekiwanie wartości od rzeczy, która jej w sobie nie ma i mieć nie może.

Tadeusz Rytwian.

Szkic stosunków szkolnych w Ameryce

ze szczególnem uwzględnieniem Stanów Zjednoczonych.

Najwięcej nowych myśli, ulepszeń programów szkolnych, tworzy się przez porównanie wyników w większości cywilizowanych krajów, na polu oświatowem osiągniętych. Ameryka jest centrum ludzkiej energii, przedsiębiorczości, widownią szybkich na każdem polu postępów, jest jedyną ucieczką, pociechą, można powiedzieć nadzieją ludzkości. Nic więc dziwnego, że oczy całej prawie Europy zwrócone są na zachód i że zajmuje ją wszystko, co z Ameryki przychodzi. Przedewszystkiem zagłuszeni jesteśmy opowieściami o cudach techniki inżynieryi, budownictwa, mało wiemy o rozwoju duchowym, oświatowym i t. d. Zdawałoby się, że praktyczny zmysł Amerykanina w zupełności nad nim panuje i wypełnia całe jego jestestwo. Przeczy temu jednak faktyczny stan rzeczy. Miliarderzy amerykańscy troszczą się bardzo o podniesienie szkół i rozwój oświaty i niejednokrotnie olbrzymiemi ofiarami umożliwiają wprost powstawanie wielkich zakładów naukowych lub rozwój już istniejących. Tak n. p. Rockefeller założył w r. 1896 uniwersytet w Chicago.

Stąd pochodzi n. p. w Stanach Zjednoczonych nierównomierny postęp na polu szkolnictwa w różnych stanach, bo nie wszystkim jest dane dzięki prywatnej ofiarności poziom oświaty odrazu podnieść. Oprócz tego do niejednostajności przyczynia się brak jednolitego systemu rządo-

wego; każdy stan przyjmuje urządzenia, które uważa za najlepsze. Pewne zbliżenie opiera się tylko na obszernych sprawozdaniach komisyj rządowych, badających szkoły i przedstawiających następnie szczegółowo ich stan, przez co dobre urządzenia, dostają się do powszechnej wiadomości.

Podział szkół w Stanach Zjednoczonych nie przystaje w zupełności do austryackiej klasyfikacyi na szkoły elementarne, średnie i uniwersytet. Wykształcenie rozpada się tam na cztery stopnie, z których każdy trwa po cztery lata. Pierwszy stopień zwany szkołą początkową (Primary School) odpowiada tutejszym czteroklasowym szkołom ludowym i uwzględnia mniejwięcej tesame przedmioty; wprowadzono jednak t. zw. naukę rzeczy, zapoznającą uczniów z bardzo różnorodnemi kwestyami, napotykanemi bezpośrednio w życiu codziennem. Drugi stopień (Grammar Szhool) jest pośredni między austryackiem niższem gimnazyum i szkołą wydziałową, uczniowie uczęszczający na ten stopień mają 10 do 14 lat. Stopień trzeci, t. zw. wyższa nauka (Secondary Instruction) odpowiada u nas wyższym klasom szkół średnich, kierunku humanistycznego czy też realnego.

W czterech latach rozróżniają ośm klas półrocznych, których plany są nieco odmienne w różnych stanach. Niektóre przedmioty uczniowie mogą sobie wybierać, n. p. ci którzy nie mają zamiaru wstępować na uniwersytet, mogą wziąć większą liczbę godzin żyjących języków. Większa jeszcze swoboda panuje w szkołach żeńskich, w których można n. p. wybrać jeden z przedmiotów: nauki przyrodnicze, język francuski, niemiecki lub grecki. Charakterystycznym jest również objawem, że logiki i psychologii niema w męskich szkołach, ale uczą ich w żeńskich. W Ameryce przeważnie kobiety są bardziej wykształcone, o wiele więcej uczą się dla samej wiedzy, niż mężczyźni; mężczyźni bowiem dzięki tamtejszym społecznym i ekonomicznym stosunkom muszą szybko kończyć studya i wchodzić w życie praktyczne. Statystyczne daty z jednego z niedawnych lat wykazują n. p. że łaciny uczyło się 49⁰/₀ ogółu uczniów, z tego 51.000 chłopców, 71.000 dziewcząt, matematyki najwyższy procent 55⁰/₀, mianowicie 67.000 chłopców, 87.000 dziewcząt. Sam ten zwyczaj podawania w sprawozdaniach statystycznych amerykańskich, jaki procent ogółu uczniów

uczy się pewnego przedmiotu wskazuje na to, że pewne przedmioty wolno w szkole wybierać, inne opuszczać.

Czwarty wreszcie stopień wykształcenia w Stanach Zjednoczonych stanowią kollegia i uniwersytety, obok których istnieje szereg szkół specyalnych: politechnicznych, prawniczych, medycznych oddzielonych od uniwersytetu. Wogóle można wyróżnić trzy kierunki wykształcenia: 1) klasyczny przygotowujący do uniwersytetu, 2) przyrodniczy przygotowujący do politechnik i 3) pośredni między nimi t. zw. kierunek angielski wprowadzający wprost w życie praktyczne.

Z charakterystycznych rysów szkół północno-amerykańskich warto podnieść, że wielki kładą nacisk na punktualność i regularność pracy, uwagę i milczenie. Jak w Anglii tak i w większości stanów północnej Ameryki kary cielesne nie są zniesione. Nauki religii niema, czytają jednak w szkołach Pismo św. i przed rozpoczęciem nauki odmawiają modlitwy.

Niema także osobnego stanu nauczycielskiego, a posady nadają tylko na rok. Istnieją agencye, do których zgłaszają się kandydaci na nauczycieli; agencye te posyłają spisy kandydatów dyrektorom zakładów do wyboru. W ostatnich czasach wymagają wysokiego wykształcenia pedagogicznego od nauczycieli, powstaje wiele katedr pedagogii, a nawet osobne szkoły w rodzaju seminaryów pedagogicznych, które się łączą z uniwersytetami i tworzą obok filozoficznego, prawniczego, lekarskiego osobny wydział pedagogiczny. Coraz bardziej rozpowszechnia się zwyczaj, że każdy nauczyciel dla odpoczynku i odświeżenia umysłu ma co 7 lat, rok wolny.

Uniwersytety czyli kollegia amerykańskie są czemś pośredniem między austryackimi gimnazyami i uniwersytetami. Studenci mają jeszcze dzisiaj niezupełną swobodę studyów, pewne przedmioty są na każdym roku obowiązkowe. Przy wielu wyższych zakładach naukowych istnieją warsztaty i folwarki, w których pracują ubożsi studenci po kilka godzin dziennie, zarabiając w ten sposób na utrzymanie. Wogóle starsza młodzież amerykańska nie uchyla się od żadnych ubocznych zajęć, przyjmuje nawet obowiązki kelnerów i stróżów. Niektóre uniwersytety mają własne

przygotowawcze szkoły średnie; do nich należy wspomniany już uniwersytet w Chicago założony przez Rockefellera.

Z innych państw amerykańskich Kanada wchodzi w szkolnictwie w ślady Anglii; wykształcenie idzie tam jednak w kierunku handlowym i przyrodniczym z ograniczeniem studyów klasycznych. Kobiety jak w całej Ameryce kształcą się na równi z mężczyznami.

W republikach środkowej i południowej Ameryki widać naogół szybki rozwój oświaty, tamowany cokolwiek przez rewolucye, walki między stronnictwami i współzawodnictwo władzy kościelnej ze świecką. Wykształcenie ogólne opierane jest przedewszystkiem na przedmiotach realnych. Nauczyciele często kształcą się w Europie, wśród nich dużo jest Niemców. Stosunki oświatowe najbardziej zbliżają się do europejskich w Chile, gdzie t. zw. zakład narodowy posiadający znakomity uniwersytet w Santiago jest najpoważniejszą południowo-amerykańską instytucyą naukową. Najniżej stoją Guyana'y, z których nieliczni zresztą dla niezdrowego klimatu biali, posyłają przeważnie dzieci swoje na kształcenie do Europy. *W. G.*



Dzień nadania konstytucyi w Kijowie.

Wiadomość o nadaniu konstytucyi w godzinę obiegła całe miasto. Na ulicy od samego rana panował jakiś ruch niezwykły: pozamykane sklepy i wywieszone chorągwie uzupełniały nastrój świąteczny.

Przed południem wyszłam z ojcem, by lepiej się przyjrzeć uroczystości. Idąc przez miasto spotkaliśmy tłum robotników, który ze śpiewem »Dubinuszki« zwolna posuwał się naprzód. Przyłączywszy się do nich, poszliśmy przed Uniwersytet. Tu radosnym okrzykiem przywitało nas całe morze głów. Wśród czarnej masy tłumu rzucał się w oczy pomnik Mikołaja I; ozdobiono go wstęgami i togą czerwoną; u stóp jego, młodzież śpiewała Marsyliankę. Zewsząd płynęły mowy; gdzie tylko można było się umieścić: z balkonów, okien, dachów, tramwajowych, słupów elektrycznych, wszędzie widać było młodzieńców, z szalonym zapałem przemawiają-

cych do tłumu. Po każdem zakończeniu jednem wspólnem echem brzmiało: »urra, urra, urra!«

Ludzi co chwila przybywało; nieśli ze sobą radość, krzyk, hałas i śpiew. Na twarzy każdego malowało się szczęście i iskra nadziei na lepszą przyszłość. Nadanie wolności: mowy, działania, szerokim entuzyazmem obejmowało wszystkich. Naraz tłum ucichł. Widok zbliżających się kozaków wywołał zamieszanie. Strach i obawa przed wojskiem, jak iskra elektryczna przeszła przez obecnych — poczęto uciekać! Wojsko wróciło.

Po takiem spotkaniu, ojciec przewidując. że to się dobrze nie skończy, kazał mi wracać do domu. Po długich prośbach musiałam uledz.

Po obiedzie udało mi się namówić rodziców, by poszli ze mną zobaczyć, co się dzieje w innej dzielnicy miasta. Na placu Miejskim (wielkość Rynku w Krakowie) było to samo, co i przed Uniwersytetem.

Z każdego okna, z balkonu, ratusza dolatywały mowy słowa dość ostre i może zbyt śmiałe. Ponieważ przemawiali tam najlepsi adwokaci miejscy, starałam się przecisnąć, jak można najbliżej.

W tym tłumie zgubiliśmy ojca — zostałam z matką. Zmęczona długiem staniem, ruchem, hałasem, zaczęła mnie namawiać, byśmy wróciły do domu. Wiedząc o tem, że wojsko ma lada chwila przyłączyć się do tłumu, nie dałam się namówić i zaczęłam błagać matkę, by zwlec jeszcze 5 minut. Zniecierpliwione oczekiwałyśmy tej chwili, lecz wojska nie było.

Tłum wzrastał, robiło się niemożebnie ciasno i gorąco. Matka wymogła na mnie, byśmy z placu przeszły na chodnik, gdzie odrobinę było więcej miejsca. Chcąc chociaż tem załagodzić swój upór, odeszłam vis-àvis ratusza i stanęłam na chodniku obok latarni. Obierając to miejsce nie przypuszczałam, że ta latarnia ocali mi matką i życie.

Mowy ucichły. Zegar jak dzwon zaczarowany, zwiastując nieszczęście, wybił czwartą. Stojąc wyżej innych pierwsza ujrzałam wojsko, które szalonym galopem pędziło z góry. Tłum się poruszył. Wystraszone okrzyki: »kozacy! dragoni!« wywołały popłoch; część ludu zaczęła uciekać. Inna zaś podniósłszy sztandary z okrzykiem radości, śmiało

szła naprzód, przywitać swych braci — braci, którzy gradem kul odpowiedzieli na to pozdrowienie.

Stało się coś okropnego: krzyk, jęk, rozpacz, wołanie o pomoc dało się słyszeć zewsząd. Instynktownie chwyciłam rękoma słup latarni, obejmując zarazem i postać matki. Jak drapieżny zwierz wpiłam się palcami w zimne żelazo, usiłując utrzymać się na miejscu i nie dać się unieść tłumowi, który mógłby mi matkę stratować. Ledwo ucichły strzały armaty, a wojsko już ruszyło galopem w tłum. Podcięte ostrogami konie leciały naprzód, tratując setki osóp.

Jak błyskawica przemknęli dragoni, tuż, tuż obok nas. Nie tracąc świadomości, jeszcze mocniej trzymałam się latarni. Czułam tylko, jak w tym pędzie ogony końskie smagały mię po twarzy.

W kilka minut potem, zobaczyłam wokoło ranionych, zakrwawionych, a jęk ich zagłuszyły powtórne wystrzały armaty. Tłum instynktownie, jak falujące zboże chylił się ku ziemi, szukając w tem jedynie ratunku.

Strzały ucichły, zbliżało się wojsko. Uciekając, tłum porwał i nas. Wokoło zaczęto bić okna, szyby, wyłamywać drzwi, by módz się schronić.

Widząc, że już nie dam sobie rady, chciałam przejść prędko przez plac, nim wojsko nie wróci i szukać w ratuszu schronienia. W połowie drogi — matka mi zemdlała. Zaczęłam wołać o pomoc. Tu podbiegł jakiś pan i pomógł mi ją unieść. Trzeba było się spieszyć, wojsko się zbliżało i mogłoby nas stratować: byliśmy na samym środku.

Niosąc matkę na ręku, drżałam na tę jedyną myśl, że śmierć jej będzie moją winą. Ta świadomość tak dodawała mi siły, że prawie biegnąc wnieśliśmy ją do bramy Tu pełno już było ludzi. Wokoło plamy krwi — jęk, ból i rozpacz...

Z obawy, że i tu kula może sięgnąć, zaczęłam prosić naszego zbawcy, by mi pomógł wnieść matkę do którego z mieszkań. Trafiliśmy do mieszkania stróża.

Przyprowadzając ją do przytomności, myślałam, że oszaleję — na widok bezwładnego ciała, roztarganych włosów; nic nie wiedziałam, czułam tylko, że jeszcze chwila i siły mnie opuszczą. Automatycznie spełniałam rozkazy otaczających. Trzeba było jednak krzepić się, nadrabiać miną

by dodać mojej biednej matce otuchy, która zaczęła rozpaczać i niepokoić się o ojca.

W dwie godziny potem wyszłyśmy na ulicę, spiesząc do domu.

Strzały ucichły. Co kilka kroków stał żołnierz z naszykowanym karabinem. Było pusto i ciemno. Cisza panowała dokoła.

Tak uroczyście przyjęto konstytucyę w Kijowie.

Roma Borysten.

Jeden z wielu.

Żył dla idei — pracował dla kraju
I społeczeństwo umiłował swoje,
Więc przyjść musieli — zakuli — pognali —
Zamkły się za nim więzienne podwoje.
Długo sądzili, co zrobić z jednostką,
Co tyle szkody niesie państwa sile.
Zabić? — Nie warto; krew braci podnieca,
Lepiej go żywcem pogrzebać w mogile:
A więc zesłanie. — Po drodze bez końca
Kibitka wiezie skazańca w kraj śniegu,
Ani łzy matki — ni ludu wołania
Nic nie zatrzyma strasznego jej biegu.
Z pomysłu radzi, wierzą, że zabiją
Wspomnienia po nim i jego tęsknotę,
Że go zatrują, szarzyzną uduszą,
Wprzęgając w ciężką, bezmyślną robotę.
Daremne złudy. — Nić wspomnień stąd płynie,
Tęsknotą tkana drogami się wije
I niesie wieść nam ze śnieżnych oddali,
Że on tam tęskni i czuje i żyje. —
I szlak się tworzy wieczystej wspólnoty
I łączy dusze w dwa krańce rzucone,
Głosząc, że dzieło poświęceń i wiary
Trwa silne — jasne — niczem niezniszczone!

L. Horoszkiewicz.

Wrażenia z Egiptu.

Drogą lekko zacienioną zbliżyłam się do piasków, z łona których strzelają w górę wiekopomne Piramidy. Ciekawa widoku arcydzieł minionych czasów, jednym rzutem oka objęłam wszystkie piramidy i wzrok mój spoczął na Sfinksie. Mały ptaszek krążył wokoło tej dziwnej postaci, ptak do jaskółki podobny, ale mający odcień rudawobrązowy na podpiersiu i ślad niebieski gdzieś na skrzydłach. Gdy zbliżyłam się do tej doliny w piasku, w której Sfinks jak w kolebce spoczywa — przyjrzałam się temu olbrzymowi i obserwowałam lot ptaszyny, która bujała w powietrzu w różnych kierunkach -- chwilami zdawała się odlatywać w daleką przestrzeń, to znów zawracała jakby przyciągnięta siłą magnesu. Ptak ów wesoło świergotał, zawieszał się w powietrzu, utkwiwszy swe żywe oczęta na tych kamiennych oczach, które zdawały się patrzeć w dal poza ziemie Egiptu, poza świat ludzi, poza słońce, do ostatnich krańców wieczności. I znów ptak zerwał się do lotu, okrążył olbrzyma i spoczął na jego głowie, potem na uchu, wreszcie na piersi spoglądając w górę wzrokiem łaknącym zrozumienia i jakby pragnącym jakichś oznaków przyjaźni. Nagle rozpostarł skrzydełka i prosto jak strzała pofrunął przez rozległe pola ku murom Kairu.

Dzień się miał ku schyłkowi — słońce zaszło i świeża chłodna noc afrykańska, dziwną wonią upajająca zapadła.

Pielgrzymi tłumnie zwiedzający Sfinks, jak ów ptak opuścili tego monarchę pustyni i wrócili do Kairu. Przybyli niewidzialną siłą przyciągnięci i odeszli. Przyszli jak ci, co zdobyli Egipt, jak Grecy, Aleksander Macedoński i Ptolomeusze, jak Rzymianie, Mameluki, Turcy, Francuzi, wreszcie Anglicy. Różne narody przeszły i władały Nilem, wieki minęły, jak kropla w Oceanie, tylko Piramidy i Sfinks zdają się być niezależne i silniejsze od wszelkiej potęgi ludzkiej.

Z zachodem słońca spojrzałam na Piramidy. Jakby masa złota,ześrodkowana na zdala płasko wyglądających ścianach przedstawiła się mym oczom największa Piramida zbudowana przez Khutu czyli Cheopsa drugiego króla IV. dynastyi na 3733 lat przed Chryst. zwana Khut.

Powoli słońce zaczęło zapadać i druga piramida wy-

glądała jakby wykuta ze złota. Wreszcie już prawie purpurowe promienie posuwały się zwolna ku wodom Nilu, zamieniając je w złociste wino króla Midasa; aż wreszcie cała powierzchnia zdawała się być złotym lodem gładkim, lśniącym, z którego wyłaniały się czarne wysepki. Wogóle wszystko dokoła było kruczo czarne t. j. domy, palmy, grupy ptaków z dachu na dach przelatujących, majestatyczne wielbłądy — a liście spotykających się drzew w alei, stanowiły czarny tunel, wiodący do hotelu Mena. Wreszcie kolosalna, czarna Piramida wyłoniła się z tego złotego tła, a u boku jej druga mniejsza, jakby pokorniejsza rzuciła nieśmiało tajemniczy cień na jezioro światła, które przybierało ciemniejszy odcień i odziało się w szkarłatny królewski płaszcz. W obłokach zefiry unosiły wieniec różowych chmurek ponad królową piasków.

Zdala w Kairo błysnęły pierwsze światła ponad polami — srebrno-białe jak dyamenty błyszczące. Przy zachodzie słońca Piramidy wyglądają wspaniale: niełatwo oddać w słowach wrażenia napełniające umysł. Z zapadającą nocą przy świetle księżyca w pełni — w noc cichą, spokojną, bez szelestu drzew, bez gwaru głosów ludzkich, widzi się więcej, niż w dzień. Te masy niezliczonych kamieni zdają się sięgać do gwiazd — w swym majestatycznym ogromie zdają się być wyrazem tłumu myśli i dążeń nie jednostki, lecz całej ludzkości. G. de Maupassant wyraził się, że ze wszystkich sztuk, architektura jest może najwięcej estetyczną, najbardziej tajemniczą, najlepszem odźwierciedleniem idei. Prawdę tego odczuwa się, gdy się patrzy wieczór na wielką Piramidę tchnącą tajemniczością. Ta płaszczyzna i ten wierzchołek budzi tyle wrażeń samą sprzecznością widoku! Co za nieskończona piękność w ciemnej, linii która je łączy niby ostro, a jednak łagodnie, oddzielając od prawie fioletowej nocy. Ta linia prowadzi duszę bezwiednie z ziemi ku gwiazdom.

Wszyscy krytykują Sfinksa; niektórzy opisują go wcale nieestetycznie, że z tyłu wygląda jak ogromny grzyb, rosnący w piasku — że jego policzki i wargi są nabrzmiałe, że z niektórych punktów podobny do buldoga. To wszystko może być prawdą — ale to małą różnicę stanowi. Co głównie waży to, to, że w pomysł i wykonanie tego arcydzieła

starożytności włożono ogromną siłę wyobraźni. Ten co stworzył Sfinksa patrzył bystrym wzrokiem poza Egipt, poza istnienie człowieka. Pojął Wieczność i zrozumiał nicość Czasu i oddał to w kamieniu.

Czego właściwie szukamy w Egipcie prócz zaspokojenia czczej ciekawości? Czy przybywamy tu, by ozdobić życie nasze jaskrawością romantyzmu — czy zapomnieć o nieodstępnem zmartwieniu — o szarzyźnie tak wielu godzin życia naszego — czy chcemy może odzyskać tu dawne marzenia? A czy Egipt przemówi do nas? Sfinks nas o nic nie spyta. Piramidy w łonie niepoliczonych kamieni strzegą swych tajemnic, o nasze sekreta nie dbają. Stare świątynie, duszne, tajemnicze grobowce, których powietrze przesiąknięte umarłemi dążeniami dawnych mężów, ironicznie zda się patrzą na nas swym głuchym spokojem i cmentarną ciszą.

Ciemnoskórzy synowie Nilu, zawodzący prastare hymny, przewodnicy w turbanach, zawsze uśmiechający się kupcy dywanów, Beduini prowadzący wielbłądy — ci nie troszczą się o nasze głęboko ukryte dążenia, o nasz może nigdy niezaspokojony głód serca i wyobraźni.

A jednak Egipt nie milczy. Temu, kto chce weń wniknąć, kto zadaje bezsłowne pytania, Egipt odpowiada i zapewnia go sposobem magicznym, że najsubtelniejszą i najgłębszą piękność i powab zawdzięcza Kheperowi, pomimo że cuda stworzyli synowie Nilu. Poucza nas, że Ten, kto stworzył słońce zawsze tu świecące dał urok życiu tutejszemu i ci co przychodzą doń, muszą być wielbicielami tego Najwyższego Słońca, jeśli chcą naprawdę zrozumieć skarby malowniczości, jakie się w łonie Egiptu mieszczą.

K. Augustynowicz.

Fantazya.

Szepcą mi usta jeszcze niewidziane
jakieś powieści, upojne, wiośniane,
jakieś gawędy w rozelśnionym stroju,
o jakiemś życiu bez trudu, bez znoju...

Szepcą mi usta..· w godziny samotne,
więc rzęśnie stulam i myśli powrotne

na chwilę rzucam — zasłuchany w mowę,
ust tych nieznanych, ich powieści nowe.

Słucham... choć wiem, iż jeno są rojeniem
nigdy niechwytnym, młodości mej wieniem,
słucham, choć ust tych nie widziałem jeszcze...
nigdy nie ujrzę.,. tem się właśnie pieszczę..

Tem się tak pieszczę, iż jutro nie wrócą
iż słońca blaski me oczy ocucą
iż jutro nowe pieśni do mnie przyjdą
dom mój nawiedzą i do serca wnijdą.

Drezno, 1911. *Aleksander Grzybowski.*

Bajką mi jesteś...

Bajką mi jesteś snutą cudnie
W skwarne południe...
Tęsknotą,
Co gwiazdy prószy —
Na kanwę złotą
I w kwiat rozkwita
W mej duszy.

Stanisław Stwora.



List z Albigowej.

III.

Ogółem stwierdzić trzeba przykry fakt, że chłopi kończący np. niższe szkoły rolnicze, wracając na wieś, często stają się malkontentami. Odwykli od wsi, a co więcej, mają większe potrzeby, niż je zaspokoić mogą, przy obecnym stanie gospodarki. Przerzucają się więc często z włościan na oficyalistów dworskich i t. p. Zatem podobne szkoły w znacznej części wypadków, chybiają swego celu, gdyż nie kształcą włościan, ale np. służbę dworską.

Malkontenci tacy, tak długo z pewnością, będą istnieli, dopóki wykształceni chłopi — względnie chłopki — będą

jednak czuć się poniekąd wyjątkami w swojej wsi, i dopóki dochody z gospodarstwa nie będą zaspokajały, potrzeb zwiększonych, wskutek podniesienia się oświaty. Cóż więc na razie czynić? Problemat to poważny i głęboki.

»Dobrobyt z oświatą, oświata z dobrobytem« oto hasło ks. Tyczyńskiego. Oświata bez dobrobytu tworzy malkontentów, dobrobyt bez oświaty egoistów i gburów. Przy zwiększonej oświacie, prędzej przyjdzie dobrobyt, przy zwiększonym dobrobycie, prędzej podniesie się oświata. Ciekawem jest twierdzenie Bujaka, że w okolicach Galicyi zachodniej, rozciągniętych na namulisku rzecznem, lub na loście, czyli na t. zw. »glebie rodzinnej« a więc żyźniejszych, jest też wyższa kultura. Nie można mówić o rozwoju intelektualnym i etycznym, bez rozwoju materyalnego.

Potrzeby ludu zwiększyły się, względnie zwiększają się z oświatą a nawet tę wyprzedzają. Winien więc równocześnie zwiększać się dobrobyt. Podniesienie ekonomiczne winno szybko iść naprzód, tymczasem majątki coraz bardziej rozdrabniają się — wielu właścicieli zaledwie »na paru morgach siedzi« — a postęp kultury rolnej wprawdzie idzie naprzód, ale nie tak szybko, jakkby to było potrzebne. Po wsiach zaczyna się robić ciasno. Emigracyi i »obieżysastwa« — nie zawsze korzystnego z niektórych względów — nic nie wstrzyma, chyba potrzebujące robotnika jakieś wielkie przedsiębiorstwa w kraju. Z samej Albigowy w ciągu kilku lat wyjechało kilkuset do Ameryki. Równocześnie gospodarze użalają się na brak robotnika rolnego. Z pewnością, gdzie indziej mają lepsze zarobki. Takich zarobków — sądzę — tutejszy gospodarz nie da, bo niema takich dochodów, jak gospodarz zachodnio-europejski. Chłop zaczyna więc dążyć do tego, by z gospodarstwa »mieć dochód, a nie utrzymanie« tylko. Gdy chłop zachodnio-europejski n. p. szwajcarski, tylko czwartą część swej produkcyi sam konsumuje, a resztę sprzedaje, naszemu jeszcze bardzo daleko do tego. Chłop zachodnio - europejski znajduje się w epoce gospodarstwa wymiennego, pieniężnego, nasz powoli do tego zdąża... Opuszczenie dzisiejszego stanowiska na korzyść stanowiska zajmowanego przez chłopa zachodnio-europejskiego, jest nieuniknioną ewolucyą gospodarczą dla naszego chłopa. Blizko połowa powiatów Galicyi, kraju

o 77% ludności rolniczej, jest tak zaludnioną, jak kraje o wysokim rozwoju przemysłu. Zatem, praca na wsi — nie mówiąc o oświatowej, w najbardziej rozpowszechnionym pojęciu tego słowa — winna się obracać około podniesienia kultury rolnej, zrzeszania ludu w związki ekonomiczne, tworzenia nowych źródeł utrzymania dla ludności wiejskiej tworzenia nowych dróg upustu, w miarę jak przyrost się wzmaga, a przyrost byłby wprost ogromny, gdyby nie to, że ogromna masa małych dzieci umiera.

Obecnie w Albigowej daje się pod tym względem, zauważyć pewną zmianę na lepsze. Bujak mówi, na podstawie dat statystycznych »warunki hygieniczne, masy ludności zmieniły się na korzyść, i śmiertelność się zmniejszyła.«

Takim wielkim upustem dla nadmiernego przyrostu ludności wiejskiej byłby przemysł. Dopóki zaś go niema, może go do pewnego stopnia zastąpić rzemiosło.

Dążeniem więc ks. Tyczyńskiego było i jest kształcenie chłopców w rzemiośle. Za jego przyczyną wielu chłopców ukończyło szkoły fachowe. Ostatnio, z okazyi święta grunwaldzkiego, uchwalono 7 chłopców wysłać do szkół fachowych. Walną jego zasługą w tym kierunku jest założenie szkoły koszykarskiej.

Gdy napominania chłopów, aby celem przeciwdziałania rozdrobnieniu ziemi, wysyłali synów do szkół fachowych, a w szczególności do świeżo utworzonej szkoły koszykarskiej pod Jarosławiem, nie odnosiły skutku, ks. Tyczyński zniecierpliwiony, wysyła do tejże szkoły swojego chłopca od posług. Następnie wysyła go do fabryki koszykarskiej w Budapeszcie. Po paru latach Jędruś, obecnie p. Jędrzej Albigowski donosi, że już praktykę ukończył. Otrzymuje odpowiedź: »Wracaj, będziesz kierownikiem naszej szkoły koszykarskiej.« Ale niema jeszcze ani budynku, ani materyału, ani..... uczniów. Po kilku dniach budynek kupiony i sprowadzone wielkie butle z fabryki łańcuckiej, oraz wiklinę do oplatania ich. Gdy p. J. Albigowski przyjechał, ks. Tyczyński zasadza kilku chłopców do roboty pod jego okiem — i jest szkoła. Teraz posiada murowany, piętrowy budynek, zatrudnia 50 chłopców i jest prywatnym warsztatem

kierownika — ale tego rodzaju wasztaty, podobno lepiej idą, niż analogiczne przez kraj np. utrzymywane szkoły.

Jednem z nowych źródeł utrzymania dla gospodarzy rolnych, może stać się racyonalne mleczarstwo zorganizowane w mleczarniach maszynowych. Albigowa posiada taką mleczarnię w szkole gospodyń. (Uczenica otrzymuje »patent mleczarski« na podstawie którego, niektóre są już samoistnemi kierowniczkami mleczarń w swoich wsiach. I tę więc korzyść mają ze szkoły.) Mleczarnie podobne często są spółkowe.

W ogólności, współczesny ruch do podniesienia ekonomicznego wsi, winien się wspierać i organizuje się w »spółkach«, czyli »kooperatywach«.

Kooperatywa jest nową formą współżycia społecznego; polega na dobrowolnem łączeniu się jednostek w związki, mające spełniać bądź pewne funkcye, trudno wykonalne dla jednostek, bądź dotychczas spełniane przez władzę. Ruch współdzielczy jest dla swych członków »najlepszą instytucyą wychowawczą, rozwijącą przedewszystkiem poczucie obywatelskiej pracy dla ogółu, dalej poczucie powinności i solidarności«. Kooperatywa ma przed sobą wielką przyszłość. A zwłaszcza dla nas Polaków jest ważną, jako wyzwalającą nas do pewnego stopnia z pod »opieki« państwowej, a mogącą nam zastąpić jej brak.

Takie znaczenie nietylko ekonomiczne, ale i wychowawcze mają kasy raiffeisenowskie, zapewniające swym członkom możność szybkiego kredytu. Rozwijają się też coraz bardziej. Kasa w Albigowej ma rocznie obrotu kilkadziesiąt tysięcy koron.

Związkami mającymi na celu podniesienie kultury rolnej są kółka rolnicze. Zwykle jednak zadowalają się jedynie utrzymywaniem sklepu — nie spełniają więc swego celu. W Albigowej uniknięto tego przez założenie 3 prywatnych chłopskich sklepików. Kółko rolnicze zajmuje się tylko kwestyami rolniczemi na posiedzeniach i sprowadza dla swych członków nasiona, narzędzia i t. p. W sąsiedniej zamożnej wsi Markowej, oglądałem ładne maszyny rolnicze, należące do związku włościańskiego.

Ważnem zadaniem jest podnoszenie urodzajności gruntów. W tym celu została zawiązaną w Albigowej, za stara-

niem ks. Tyczyńskiego spółka drenarska, mająca na celu wydrenowanie gruntów albigowskich. (Dreny są to rurki gliniane, mające odprowadzić zbyteczną wodę, a doprowadzić powietrze do roli. Przez drenowanie, wydajność ziemi bardzo znacznie się podnosi.) Później założył ks. Tyczyński udziałami chłopskimi fabrykę drenów — obecnie sprzedaną, gdyż okazała się przedsiębiorstwem, trochę za ciężkiem na chłopskie kieszenie.

Z taką to robotą w związku pozostaje robota czysto kulturalna, a więc i narodowa. Dopiero chłop wykształcony społecznie w organizacyach współdzielczych, czujący zadowolenie ze stanu swojej gospodarki, przywiązany do tej ziemi, która dość chleba mu daje — dopiero taki chłop zaczyna pojmować, że przecież »Polska to jest wielka rzecz«

Nietylko więc na szerokiej politycznej arenie, ale i w tych cichych wsiach naszych można wiele zrobić: pracą powszednią, całkiem »prozaiczną« — czasami tylko chwilami poezyi przerwaną — »organiczną«. Ale taka właśnie robota wykuwa przyszłość, jeśli jest prowadzoną przez ludzi rozumnych i dobrej, a silnej woli.

Tak jest w Albigowej.

— — — — — — — — — — — — — — —

Krótko przed wyjazdem, udałem się na przechadzkę. Dzień był jasny. Słońce po długiej niepogodzie właśnie wyjrzało z za chmur. Blade blaski roztoczyły się nad czerwonemi kępami jesiennych drzew, nad rżyskami i polami zoranemi, nad wsiami i nad sinemi smugami lasów. Na wyniosłości, przy jednej z sąsiednich wsi, stała ustronna chata wśród drzew owocowych. Kilka kroków od niej właściciel jej, stary chłop w niemożliwie połatanym kubraku, pasł chudą krowinę siedząc apatycznie na miedzy. Zatrzymałem się przy nim dla wypoczynku i wdałem się z nim w rozmowę. Ziemi ma bardzo mało, ale zato dzieci bardzo dużo. Jeden z synów gdzieś mu się zapodział. Pojechał na robotę do Prus i nie daje znaku życia. Ziemi nie ma kim uprawić, bo dzieci niewielkie jeszcze. W zimie zamieć czasem na parę dni, zupełnie odcina go od świata...

Nie wesoło mu. A jednak... przychodzi mi refleksya, czy, mimo całej swojej biedy, ten kmieć siedzący na

swoim kawałku gruntu, ten posiadacz ziemi, ma rzeczywiście o tyle mniej warunków do szczęścia — nb. z pewnego punktu widzenia — w porównaniu z sytym mieszczuchem, jednakże oderwanym od ziemi, skrępowanym tysiącem względów i konwenasów — itp., konieczności wielkomiejskiego życia... łowiectwo, pasterstwo, rolnictwo, były zajęciami, z których rozwinęło się całe późniejsze ekonomiczne życie ludzkości. Szerokie łany i ciemne bory były jej pierwotną kolebką.

I czy nie przyjdzie kiedyś dzień, w którym ludzkość opuści wielkie centra, by do tej kolebki wrócić, swobodną piersią odetchnąć i w cieniu kwietnych sadów, zasiąść do pięknego i dobrego używania życia? —

(Październik 1910.) *Karol Koniński.*

Uwaga: Autor jest laureatem I konkursu »Łanu Mł.«; podróż do Albigowej odbył w myśl warunków II nagrody.

Dary nocy.

W moim pokoju cisza, a tam za oknami
Stoi noc i zagląda do środka ciekawie —
I jesiennego wichru szepce poświstami
Długie — dziwne powieści...

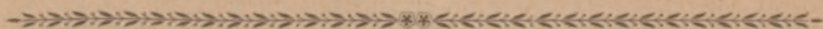
Czasem uderzy w szyby głośno i gwałtownie
Jakąś skargą, lub krzykiem rozpaczy namiętnym —
Cofa się — i niedługo uderza ponownie
Jeszcze silniej — boleśniej...

I rzuca mi o szyby ludzkie jęki — żale
I łzy niezebrane żadną dobrą dłonią.
Nieustanne, głębinne, łez powrotne fale,
Smutne, pomarłe perły...

I modlitwy przez ciche niebo odrzucone —
I przekleństwa najkrwawsze z dna duszy wydarte —
Powiędłe me uczucia i sny niewyśnione
Z dali wielkiego świata...

W bolu zbieram te dary czarnej, zimnej nocy
I uczę się z nich życia tajemnic nieznanych,
I czerpię z nich, z tych głębin nieprzebranej mocy
Na daleką swą drogę.

Po nocy takiej — nie śmiem rzucać zwątpień słowa
I tęsknić do ukojeń sennej — pustej ciszy,
Bo wtedy się mym oczom ukazuje nowa
Poświęceń jasna droga.



Szkolne wycieczki wakacyjne w Dreznie.

(Sprawozdanie z saksońskiego kongresu wycieczek szkolnych, odbytego w Dreznie 29, 30 i 31 października 1910 r.).

(Ciąg dalszy).

Działalność swoją w r. 1910 rozpoczęła komisya od urządzenia jeszcze w zimie trzech publicznych odczytów z obrazami świetlnymi, aby przez zapoznanie szerszego ogółu z dotychczasowemi wynikami wycieczek, ostatecznie je spopularyzować i wszelkie obawy i uprzedzenia, jakieby jeszcze wśród rodziców uczniów istnieć mogły raz na zawsze usunąć. Wydano także w tym czasie książeczkę p. t.: »Mein Begleiter durch das Schuljahr 1910—11«, która za niewielką cenę 20 pf. podaje mnóstwo informacyi, dotyczących wycieczek wakacyjnych, parę dydaktycznych opowiadań i wreszcie zbiorek pieśni. Życzeniem wydawców było, by książeczka ta zaspakajała wszystkie potrzeby małego wycieczkowca, t. j. aby mu mogła służyć i w szkole i na wycieczce, aby mogła zastąpić i notatnik i niezbędny w Niemczech śpiewnik. Poza temi usiłowaniami popularyzującemi przedsięwzięcie, pracowano nad ostatecznym wykończeniem organizacyi wycieczek. Przedstawia się ona mniej więcej następująco:

Wszystkie szkoły ludowe drezdeńskie w liczbie 67 rozdzielono na 13 grup. Każdą grupę oddano w opiekę jednemu nauczycielowi, nazwanemu stąd *Herr Obmann*, poczem nazwisko jego i adres wypisano na artystycznym afiszu i wywieszono w szkole. Do niego teraz mają się udawać uczniowie i rodzice we wszelkich sprawach, dotyczących wycie-

czek. W ten sposób ułatwiono i uproszczono bardzo wszelkie komunikowanie się towarzystwa z interesowanymi. Żywa działalność pana opiekuna zaczyna się dopiero na parę tygodni przed wakacyami. Tu wypada mi nadmienić, że wakacye w Niemczech są inaczej rozłożone, niż u nas; właściwe wakacye t. zw. *Grosse Ferien* trwają tylko miesiąc, od 15 lipca do 15 sierpnia, zato jednak ferye świąteczne Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy (*Weihnachts- und Osternferien)* trwają po dwa tygodnie i wreszcie na Zielone Świątki i pod koniec września mają uczniowie znowu po tygodniu wolnym od nauki. Są to t. zw. *Pfingstferien* i *Herbstferien*. Otóż na dłuższy czas przed każdemi wakacyami ogłasza komisya wycieczkowa swój program, który przez panów kuratorów dostaje się w ręce dzieci. Można sobie wyobrazić, jaki ruch rozpoczyna się teraz po klasach na pauzach i w domu. Na jaką wycieczkę pojechać? oto pytanie, które elektryzuje i podnieca wszystkich. Gdy wreszcie naradzono się z rodzicami, obrachowano z kieszenią i z gustem, gdzie kogo ciągnie, zapisuje się na wycieczkę u pana opiekuna. Uskutecznia się to zapomocą karty meldunkowej, którą rodzice wypełniają. Aby ułatwić całe postępowanie i uniknąć wielu formalności i pisania, jest z góry, na cały rok, a może na zawsze ułożona lista wszelkich możliwych wycieczek, tak, że każda z nich ma swój stały numer. Ten numer wpisuje się teraz obok nazwiska dziecka i szkoły, do której uczęszcza, na karcie meldunkowej, poczem płacą rodzice oznaczone dla każdej wycieczki koszta i wpisowe, w kwocie 10 lub 30 fen., zależnie od tego, czy wycieczka jest jedno-, czy więcej dniowa. W zamian otrzymuje kwit na zapłaconą sumę i napisany przez pana opiekuna dowód przyjęcia, który informuje dziecko dokładnie, gdzie i kiedy ma się na wycieczkę stawić, przyniósłszy z sobą naturalnie ową cenną kartkę przyjęcia. Zjawić się należy na placu zbornym bez względu na pogodę; tylko choroba może nieobecność usprawiedliwić, ale trzeba ją prowadzącemu nauczycielowi przed wyruszeniem zaraportować. Tylko w takim bowiem wypadku mają rodzice prawo żądać zwrotu pieniędzy, zapłaconych, jako koszta wycieczki, przy zgłoszeniu. Zajmuję się dlatego tak długo tą kwestyą, że jest z jednej strony bardzo charakterystyczną, jako objaw wrodzonej

Niemcom karności i regularności, z drugiej strony, bez takiej surowej dość ustawy, nie uchroniłoby się Towarzystwo od ciągłych pretensyi ze strony rodziców, a co zatem idzie i strat finansowych.

W wycieczkach biorą udział chłopcy i dziewczęta od lat 10 do 13, t. j. uczniowie i uczenice czterech wyższych klas szkół ludowych, od t. zw. kwarty do primy. Klasy te odpowiadają naszym trzem klasom wydziałowym, rzecz tylko jasna, że zarówno tych szkół, jak i uczniów jest w Niemczech stosunkowo daleko więcej; gdy u nas bowiem większość dzieci, zwłaszcza chłopców, po ukończeniu szkoły ludowej idzie do gimnazyów, stosunek ten w Niemczech jest wprost odwrotny, tam przeważna część dzieci przechodzi przez szkołę wydziałową. Wycieczki są przeważnie osobne dla chłopców, osobne dla dziewcząt. O ile mi wiadomo, raz tylko urządziło Towarzystwo dłuższą wycieczkę wspólną, w której brało udział 26 chłopców i 10 dziewczynek pod przewodnictwem jednego nauczyciela i dwóch nauczycielek; musiała ona jednak nie dać pożądanych wyników, gdyż więcej eksperymentu tego nie powtórzono. Jako ubiór na wędrówkę poleca towarzystwo w swych pouczeniach stare, rozchodzone buciki, niezbyt gęste pończochy, wygodne ubranie i jako wierzchnie okrycie pelerynę lub chustkę. Poza tem ma każde dziecko mieć ze sobą w ruksaku lub tornistrze: mały garnuszek, łyżkę do jedzenia, notes do notowania, śpiewnik, no i co najważniejsze, żywność na jeden dzień. Charakterystycznem dla Niemców jest nakaz noszenia ze sobą notatników i śpiewników. Popularność śpiewu jest w Niemczech tak wielką, umiejętność w tym kierunku tak powszechną, że śpiew należy wprost do obyczaju i charakteru narodowego. Co się zaś tyczy notatników, to każde dziecko jest obowiązane, a przestrzega się tego obowiązku pilnie, notować nazwy miejscowości, przez które wycieczka przechodzi i swoje wrażenia; możemy tu znowu zauważyć niemiecką systematyczność i umiejętność wyzyskiwania wszystkiego, co korzyść przynieść może: bez tego nie można sobie wyobrazić, aby dzieci coś z wycieczek mogły sobie zapamiętać. Miałem sposobność przeglądnięcia kilku takich notatników na maleńkiej wystawie, którą na czas trwania kongresu urządzono, jako ilustracyę

dotychczasowej działalności; otóż poza nazwami miejscowości, »wrażeń« niewiele tam znalazłem. Mimo to jednak i tak czasem przebija się indywidualność notującego dziecka. W jednym notatniku n. p. obok stereotypowych nazw znalazłem ponotowane ceny, jakie gdzie za jadło i napitek płacono. Dodaje do nich autor swoje uwagi i oceny: »To dopiero drogo!«, albo z uznaniem: »Bardzo tanio, przyjęcie nadzwyczaj gościnne« i t. p. Niezawodnie jest to urodzony handlowiec.

Przewodnikami wycieczek są przedewszystkiem nauczyciele, rzadziej nauczycielki; te stale tylko w kilkudniowych wycieczkach dziewczęcych, ale i tak zazwyczaj mają dodanego nauczyciela do pomocy. Zadaniem tych przewodników jest poza samem prowadzeniem i opieką, jaką muszą dzieciom udzielać, dawać im także wyjaśnienia napotkanych zjawisk przyrodniczych, urządzeń technicznych zakładów przemysłowych, a wreszcie opowiadać zdarzenia historyczne i podania, przywiązane do najróżniejszych miejsc pamiątkowych, które wycieczka zwiedza. Jak widzimy więc, przewodnictwo takie nie jest rzeczą zbyt łatwą i wymaga gruntownej znajomości robionej tury. Bezsprzecznie najpoważniejszą jednak rzeczą w tych obowiązkach jest kwestya opieki, bo gdy w wycieczce idzie do 30 dzieci, wprawdzie daleko więcej karnych niż nasze, to zawsze łatwo o jakieś przekroczenia, czy nadużycia niebezpieczne w skutkach, lub wreszcie o jakiś nieszczęśliwy wypadek. Odpowiedzialność tedy przewodnika jest dużą i może być przykrą a nawet kosztowną, rodzice bowiem w Niemczech lubią czasem zamieniać ból i łzy swoich dzieci na brzęczącą monetę i dochodzą w razie jakiegoś wypadku sądownie strat, jakie ponieść mogli przez niedozór nad małoletniemi ze strony tych, którzy do tego dozoru byli obowiązani. Aby tedy nauczycieli uchronić od strat, jakieby ponieść mogli w razie, gdyby albo sami wypadkowi jakiemu na wycieczce ulegli, albo też z powodu wypadku którego z dzieci, odszkodowanie rodzicom płacić musieli, postarało się Towawarzystwo o ubezpieczenie wycieczek. Podjęło się tego Stuttgardzkie Towarzystwo Ubezpieczeń. Za 60 marek rocznie premii ubezpiecza wszystkich nauczycieli i dzieci, biorących udział w wycieczkach, na ogólną sumę 150.000 marek.

Dotychczas, o ile mi wiadomo, nie zaszła potrzeba korzystania z ubezpieczenia, jedynym bowiem cięższym wypadkiem, jaki się na wycieczkach zdarzył, było lekkie zranienie przez spadający kamień. (Dok. nast.)

Kazimierz Borelowski.

Z teatru.

»Pan Benet« i »Co tu kłopotu» Fredry.

Pójść na Fredrę do teatru, to spędzić wieczór niezwykle przyjemnie. Pod tym względem jest on niezrównany. Można się uśmiać na jakiejś francuskiej farsie, można zabawić na poważniejszej współczesnej komedyi, żadna z dwóch jednak nie da nam takiego zadowolenia. Po obu zostanie zawsze pewna doza niesmaku: pierwsza zmęczy łatwo niemożliwościami ad infinitum i takiem zagmatwaniem sytuacyi, że już widz przestaje się zupełnie oryentować i błaga o piorun z nieba, aby się już raz wszystko skończyło, z drugiej zaś znajdziemy napewne więcej złośliwości niż humoru i tyle pesymizmu, że człowiek mimowoli poczyna zastanawiać się poważnie nad sobą i światem. Nie byłoby to złe, gdyby autor choć trochę chciał biednej swej ofiarze pomódz w rozwiązywaniu tego węzła gordyjskiego, a nie szydził tylko, aby szydzić z amatorstwa.

Fredro śmieje się także z ludzi, bo i on przecież, jak każdy komedyopisarz ma już w sobie takiego dyabełka, który mu nie pozwala inaczej na zwierzęta społeczne spoglądać. Ta zdolność jednak patrzenia, a dalej odtwarzanie jużto w postaciach typowych, już to w indywiduach rzeczy widzianych, sprawia mu tak wielką rozkosz twórczą, że ów złośliwy dyabełek nie może się posunąć aż do gryzienia ludzi. Humor Fredry jest zgoła nie zgryźliwy, bo Fredrze jest dobrze na świecie. Życie nie stanowi dlań trudnej, a strasznej zagadki do rozwiązania, ale jest ciekawem zjawiskiem, szczególnie ze względu na ludzi i ich w niem rolę. Więcej też warto patrzeć się na świat, niż się nad niem zastanawiać. Na wszystkie zresztą trudniejsze problemy życiowe znalazłby może Fredro odpowiedź w swych pocz-

ciwych rycersko-szlacheckich poglądach, odpowiedź jeśli nawet nie głęboką, to jednak wystarczającą. Poglądów tych zresztą nie starał się on nigdy forsować w społeczeństwie a pradziadowskie moralne sentencye podawane jako motta utworów, miały zdaje się mniej przekonywać niż upozorować artystyczną działalność, tak niezwykłą, jak na ówczesny wiek, a tak głęboko z duchem poety zrosłą, że bez niej żyć nie mógł. Dotknięty do żywego zdaniem Goszczyńskiego o swoich dziełach, że brak im ducha narodowego, a może przyznając mu nawet po części racyę, (zważmy, że był to początek romantyzmu, i że podobne zarzuty spotykały i Mickiewicza i Słowackiego) zrzekł się tej najwyższej dla twórcy przyjemności: oglądania swych utworów na półkach księgarskich i deskach teatralnych; pisać jednak nie przestał: była to jego druga natura. A że było mu z nią dobrze na świecie, więc pisał i śmiał się z taką swobodą, z taką pogodą, że kto wie, czy mistrz jego Molier nie wydałby się przytem nieco wymuszonym.

Do stworzenia jednak komedyi nie wystarczy sama zdolność widzenia i odtwarzania śmiesznostek ludzkich; tu trzeba jeszcze czegoś, co nazwałbym fantazyą sytuacyjną. Trzeba umieć zawiązać konflikt pewien dramatyczny i dopiero dookoła niego poprzyczepiać różne mniej lub dalej idące karykatury. Czasem jednak zdarzy się, że akcya i charaktery osób nie zupełnie do siebie przystają i wtedy wypada rzecz słabsza; tak jest właśnie z »Co tu kłopotu«. Pomysł tej sztuki bezprzecznie się nie udał. Wiele jest rzeczy dowcipnych, pojedyncze momenta rozważane abstrakcyjnie, zdają się być wcale udatnemi, a tymczasem jakoś całość nie wypadła genialnie. Czegoś zabrakło. Najciekawszą z całej sztuki jest osoba główna bohatera, p. Albina Albińskiego. Jest to sobie taki człowiek »dobry« w całym tego słowa znaczeniu. Jego najwyższe marzenia nie zasięgają po za pragnienie spokoju. W pewnej jednak chwili każe mu autor zdobyć się, może pierwszy raz w życiu, na energiczniejszy czyn, na stawienie oporu prądowi wypadków pod wpływem zdawna już istniejącej, ale nagle uświadomionej miłości. Jest to niewątpliwie najsympatyczniejszy efekt w całej sztuce.

Albin Albiński charakterem swoim biernym, zamiło-

waniem spokoju i bezczynności, przypomina bardzo silnie Pana Beneta i to zapewne »pendant« skłoniło dyrekcyę teatru miejskiego, do wystawienia sztuki tak średniej, jak »Co tu kłopotu« obok takiego arcydzieła, jak »Pan Benet« Tu już niczego nie brakło autorowi. I plan i portrety sceniczne godzą się ze sobą wyśmienicie.

W ciągu przedstawienia nasunęła mi się jednak reflesya, którą chcę się z słuchaczami podzielić. Przez trzy bli-



Surochów, gniazdo rodzinne Fredrów.

ko godziny patrzyłem na ruszające się po scenie dwie edycye Panów Benetów, t. j. ludzi, którzy niczego innego nie chcą, jak tylko, żeby im było dobrze i spokojnie. Pierwsza edycye to Albiński, druga to Benet. Dzieli ich tylko szmat czasu: czas mijał, świat się zmieniał, zmieniał się autor, zmieniały się i jego postacie sceniczne wreszcie. Typ pewien jednak pozostawał w społeczeństwie, pozostawał tedy także i w repertuarze autora, choć ulegał pewnym zmianom. I oto fakt, że typ »Benetów« jest przekleństwem naszego społeczeństwa. Byle tylko było dobrze i spokojnie — zresztą fraszka! Próżno rozum, logika, doświadczenie dziejowe, serce w końcu mówi do nich, wraz ze Zdzisławem z »Pana

Beneta«: »Tylko głupi, ściska rękę co go łupi...«, oni zawsze z starym Benetem gotowi na wszystko za »świętą zgodę« i płynący z niej spokój. Ludzie tego typu prześladują społeczeństwo od 100 lat, t. j. odkąd jest ono w niewoli. Wszystko się o tę bezwładność rozbija.

Naprawdę że »Pan Benet« traktowany jako pewien symbol niemocy narodowej, wart stanąć obok Chochoła Wyspiańskiego.

Tej jednak strony już nie śmiesznej, ale tragicznej, stworzonej przez się postaci, zapewne nasz stary Fredro nie dostrzegł nigdy.

K. B.

»Legenda z Erynu«, baśń dramatyczna w 4 aktach Juliusza Zeyera. Przekład Zenona Przesmyckiego (Miriama).

Wszechstronny talent twórczy Juliusza Zeyera zrodził arcydzieła tak na niwie powieści, jak i w dziedzinie poematów epickich, opowiadań fantastycznych i nowel. Głęboka prawda bije ze słów jego wytwornego tłómacza Przesmyckiego, że Zeyer »bogacz barw, plastyk niezrównany, obdarzony był niesłychanie bujną wyobraźnią i niewymownym, oczarowującym czytelnika darem wcielania swoich wizyi«. Dramaty, odznaczające się bardzo oryginalną fabułą, nie stoją na wyżynie innych jego utworów, z powodu przewagi pierwiastka epickiego, ale pisane są tak przepięknym językiem i okraszane szeregiem tak podniosłych scen lirycznych, że owiani tchnieniem czarodziejskiej poezyi, przestajemy zwracać uwagę na usterki.

Dlatego z wielkiem zadowoleniem duchowem przysłuchiwaliśmy się Zeyerowskiej »Legendzie z Erynu«, w której poeta porusza problem zemsty za zamordowanie ojca i po wiek wieków niezgłębiony problem miłości. Interesująca akcya tej baśni dramatycznej zozgrywa się w III w. po Chr. w pogańskiej Irlandyi, Młody rycerz Midak niezłomnie postanowił zamordować potężnego króla Finów z chwilą, gdy nabrał przekonania, że to on zabił mu zdradziecko wielkiego ojca. Sposobność do zemsty szybko się nadarza, albowiem w dniu zaślubin zbiegła sędziwemu Finnowi oblubienica Grania, córka króla Kormaka wraz z ukochanym Dermatem hen na słoneczne łąki do domostwa wskazanego

przez Midaka. Ten uwiadomił o miejscu ich pobytu Finna, którego zwabił do komnaty. Mściwy Midak rzucił się na bezbronnego króla. Na krzyk Finna wpadł Dermat, który ze swej duszy straszną wydobył tajemnicę, że to on zabił ojca Midaka. Wskutek tego wyznania Midak zabił swego przyjaciela, na jego trupie śmierć sobie zadała ponad wszystko go kochająca Grania.

Najbardziej zajmującą postacią tej baśni dramatycznej jest nadziemską potęgą obdarzony król Finn, którego nieubłagany los srodze karze za to, że mimo swej nadprzyrodzonej mocy, nie chciał uzdrowić konającego Dermata. Własny syn i wnuk go opuszczają. Będzie żył w samotnej rozpaczy...

Wolą Midaka, podobnie jak wolą Hamleta, kieruje duch ojca. Podczas gdy jednak wiecznie rezonujący Hamlet na czyn się nie może zdobyć, to rycerski Midak, natura pierwotna, nie zważa ani na święte prawo gościnności, ani na serdeczną przyjaźń, lecz za śmierć ojca krwawo się mści.

Największym urokiem poezyi owiana jest postać królewnej Grani. Jak Krymhilda do Zygfryda z »Pieśni Nibelungów« przylgnęła do bohaterskiego Dermata urocza, wiośniana Grania, która śniła złowieszczy sen podobny do snów królowej ze Santen i której serce również przenika owo tajemnicze, fatalne uczucie, że lada chwila ukochanego jej zamordują... Przeczucie nie zawiodło, lecz miłość Grani i Dermata jest tak żywiołowa, że mogą albo razem żyć, albo razem umrzeć. Oboje więc konają z winy Finna, który z pobudek mściwości nie chce powstrzymać śmierci od młodego Dermata mimo błagalnych próśb syna, wnuka i samego Midaka...

W baśni tej, przepojonej szczerym liryzmem, mnóstwo jest wspaniałych, iście homeryckich porównań, jest głębokie odczucie potężnych namiętności ludzkich: zemsty i miłości, a ponad wszystko góruje poetyczny czar języka, który widza wprost odurza. Niezrównanie piękną jest legendarna opowieść króla Kormaka o Finnie, obdarzonym mocą rozsiewania szczęścia i życia. *W. Fallek.*



Statystyczny przegląd polskich uczniów szkół średnich w „Przedlitawii“ za rok szkolny 1909/10.

Ze sprawozdań dyrekcyjnych szkół średnich z krajów przedlitawskich, udało mi się wyciągnąć niniejszy przegląd statystyczny. Przegląd ten jednak, zastrzegam się, nie jest zupełnie poprawnie przeprowadzony. Przeszkodami w tem było miejsce w rubrykach owych sprawozdań, w którem dyrektor zapisuje skąd, z jakiego kraju uczniowie pochodzą.

W szkołach niemieckich jakoteż i czeskich znaleźć można takich, którzy pochodzą z Galicyi. Pozostaje jeszcze zaglądnąć do spisów klasowych i szukać nazwisk czysto polskich. Rzecz ta niekiedy nastręcza wiele trudności, ponieważ niejeden Polak ma takie nazwisko, że po niem trudno jest go poznać. Czasem jednakowoż na pierwszy rzut oka z nazwiska lub nawet z imienia można się domyśleć Polaka.

Ilu ja takich z imienia Polaków w poszukiwaniu mojem znalazłem, tych zaliczyłem do ogólnej liczby »posługujących się w domu polskim językiem«.

W spisie niniejszym, w wyliczaniu miast, kierowałem się porządkiem abecadłowym.

Bielsk w gimn. na	365	uczniów	jest	59	Polaków
w szkole real. na ...	382	»	»	67	»
Cieszyn w gimn. na	309	»	»	84	»
Czerniowce w gimn. na	794	»	»	70	»
Gradec (Gratz) w gimn. I. na ..	386	»	»	2	»
w gimn. II. na	252	»	»	1	»
Gorycya w gimn. na	626	»	»	1	»
Krems w gimn. na	353	»	»	1	»
Jägerndorf w gimn. na	306	»	»	2	»
Lanckorona (Czechy) w gimn. na	178	»	»	3	»
Morawska Ostrawa w gimn. I. na	298	»	»	8	»
w gimn. II. na	219	»	»	1	»
Hranice (Morawy) w gimn. na .	166	»	»	1	»
Melk w gimn. na	302	»	»	2	»
Meran w gimn. na	261	»	»	2	»
Ołomuniec (Olmütz) w gimn. I. na	366	»	»	3	»
realna na	404	»	»	5	»
Pola w gimn. na	194	»	»	2	»
Prachatice w gimn. na	224	»	»	2	»
Prosznice w gimn. na	203	»	»	2	»
Suczawa w gimn. na	866	»	»	27	»
Wiedeń w ośmiu gimn. na ..	3911	»	»	41	»
w siedmiu szkoł. real. na	2927	»	»	10	»

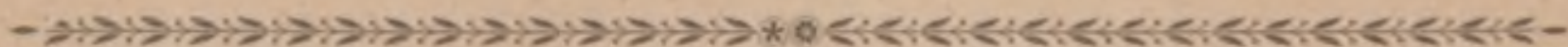
Ogólnie zatem w wymienionych miastach przedlitawskich kształciło się w roku szkolnym 1909/10 trzystu dziesięciu Polaków.

Spis ten podaję czytelnikom z tą prośbą, aby zechcieli więcej zająć się rodakami na obczyźnie. Każdy przyzna, że miło jest Polakowi w obcym kraju, gdy spotka drugiego Polaka, a milej mu jeszcze będzie,

gdy się przekona, że z serca dawnej Polski siły i mocy moralnej mu dodają. Dziś my powinniśmy się czuć wszędzie i zawsze razem, nigdy, ani nigdzie nie wolno nam zapominać o naszych ziomkach, a więc z tymi, co z tej samej prawie skarbnicy wiedzy czerpią i żywią się tym samym co i my karmem duszy, złączyć się nam należy przez — korespondencyę. Kartka lub list od czasu do czasu napisany do kolegi gdzieś daleko będącego, sprawi nietylko piszącemu przyjemność, ale i tamtemu będzie otuchą i mocą. Węzły koleżaństwa bardzo łatwo zadzierzgnąć. W każdem bowiem gimnazyum znajdują się sprawozdania dyrekcyjne ze szkół średnich wszystkich prawie krajów wchodzących w skład austryacko-węgierskiej Monarchii. Prośmy zatem kuratora biblioteki gimnazyalnej — w ogóle szkolnej, swego zakładu, by wypożyczył kilka z tych sprawozdań. W statystyce, którą każdy dyrektor prowadzi, znajdzie się pewnie zapisanych i Polaków. Poszukać trzeba potem w spisie uczniów imienia czysto polskiego, napisać do tego gimnazyum — i cała sprawa skończona! Zaręczam, że stan finansowy przez to nie poniesie wielkiego uszczerbku, korespondencya ta da nam wewnętrzne zadowolenie. Z radością każdy piszący będzie odbierał list od Polaka z Czech, Styryi lub innego kraju i miło będzie, gdy zaliczy się do tych nielicznych zresztą czynników, które naszym ziomkom na obczyźnie Polskę przypominają.

Stanisław Igliński VIII kl. V gimn.
z Kółka historyczno-literackiego.

UWAGA. Myśl Szan. Autora uważamy za bardzo szczęśliwą. Na początek roześlemy naszym wśród obcych, bezpłatnie »Łan Młodzieży«. Prosimy tylko o łaskawe zanotowanie w Redakcyi nazwisk uczniów, którym Szan. Autor przyznaje narodowość polską. Kółko hist.-literackie, a w nim tak pomysłowi ludzie, mogliby stale objąć opiekę nad tym szczerze koleżeńskim i patryotycznym pomysłem. *Redakcya.*



Z życia młodzieży.

Walne zgromadzenie Czytelni uczniów Gimnazyum III. Dnia 13 lutego b. r. odbyło się walne zgromadzenie członków Czytelni. Na porządku dziennym były sprawozdania z działalności półrocznej zarządu, reforma statutu i wybór nowych członków zarządu. Sprawozdania: skarbnika, bibliotekarza, przewodniczących Kółek i przewodniczącego komisyi kontrolującej przyjęto bez dyskusyi. Następnie przystąpiono do kwestyi reformy statutu. Nowy statut, zasadzający się na podziale pracy Czytelni pomiędzy trzy sekcye: czytelnianą, odczytową i sportową, wywołał długą dyskusyę; postanowiono starać się o przyłączenie niedawno założonego «Kółka turystycznego» do Czytelni. Zresztą nowy statut przyjęto bez zmian. — Następnie odbyły się wybory nowych członków zarządu: drugim wiceprezesem wybrano kol. Macudzińskiego (kl. VII A), gospodarzem kol. M. Więckowskiego (kl. VI A),

skarbnikiem kol. A. Wędrychowskiego (kl. VI A), zastępcą skarbnika kol. K. Schwarzenberg Czernego (kl. VI A). Członkiem komisyi kontrolującej został kol. Gaweł (kl. VII) dotychczasowy skarbnik.

K. S. C.

Grupa „Świt“ otrzymała pozwolenie od dyrekcyi na założenie związku abstynenckiego przy gimnazyalnej czytelni.

W styczniu odbyło się otwarcie. Członków wpisało się 18. Do »Ojczyzny« należy tylko czterech, ale owianych gorącą pracą dla Polski i abstynencyi. Grupie nadali nazwę »Ojczyzna« by o celu swoim nigdy nie zapominać. Naznaczono wkładki po 30 hal. z tego 20 hal. na bibliotekę. Z pism abstynenckich w Krakowie wychodzą: »Młodzież« — (Jabłonowskich 18 I. p.), »Hasła Filareckie« we Lwowie, ul. Lenartowicza 10.

Z życia młodzieży w Rosyi. »Koło akademickie P. P. S. w Kijowie« wydało odezwę do młodzieży polskiej na Ukrainie. Wzywa ono i zachęca do »pracy, która się jutro w czyn ma zmienić«, a kończy następującem oświadczeniem: »Braciom naszym Ukraińcom dłoń pomocną podajemy, a niesiemy w ofierze, co mamy najlepszego: naszą wiarę w zwycięstwo«!

„Związek Młodzieży Postępowej w Petersburgu“ podpisał odezwę do młodzieży, obojętnie zachowującej się wobec demonstracyi, które odbyły się w Petersburgu, Moskwie i stolicy Ukrainy — Kijowie. Przyczyną demonstracyi była chęć wyrażenia hołdu zmarłemu filozofowi, — a jednocześnie próba protestu przeciwko karze śmierci. Dominującymi okrzykami było: »Precz z karą śmierci!« i »Precz z despotyzmem«. W Moskwie i Kijowie widać było pewną ilość robotników, lecz większych rozmiarów demonstracye nie przyjęły, gdyż została rozproszone przez wojsko — a większość uczestników aresztowano.

K. P.

Sprawozdanie Czytelni gimnazyum św. Jacka. Czytelnia nasza rozwija się w tym roku znacznie lepiej niż za lat poprzednich. Przypisać to należy energicznemu działaniu Wydziału i większej liczbie dzieł i czasopism. Do użytku Czytelni przydzielono większą ilość książek z biblioteki uczniów, o treści przeważnie naukowej, a zakupiono też niemało za pieniądze oszczędzone w roku poprzednim. Z czasopism otrzymuje Czytelnia od p. Dyrektora »Biesiadę literacką«, »Przegląd polski«, »Bibliotekę Warszawską«, »Poradnik językowy«, »Kwartalnik historyczny«, »Wszechświat« i »Kosmos«, z własnych zaś funduszów prenumeruje »Łan młodzieży«, »Znicz«, »Świat słowiański«, »Tygodnik ilustrowany«. Wogóle zadowolić może Czytelnia każdego członka, tembardziej, że życzenia ich są zawsze wypełniane. Każdy dział naukowy jest należycie uwzględniony a przedewszystkiem literacki i historyczny. Szkoda, że na 80 członków przychodzi przeciętnie tylko 15; przy większej frekwencyi możnaby powiększyć czas otwarcia Czytelni z 6 na 8 godzin.

Nieźle także przedstawia się stan finansowy: wynosi 80 K gotówki, liczba ta wzrośnie jeszcze przy antykwarni.

Należy przytem podnieść z uznaniem pracę byłego prezesa kol.

Kowalczyka, jaką położył przy prowadzeniu Czytelni roku zeszłego. Za staraniem Wydziału, odbyły się dwa wieczorki, jeden w rocznicę listopadową, drugi ku uczczeniu pamięci Maryi Konopnickiej, które wypadły znakomicie i świadczą o wielkiem zamiłowaniu uczniów naszego gimnazyum do muzyki. Z Czytelnią pozostają w związku Pomoc Bratnia i 4 kółka naukowe, z których najlepiej rozwija się historyczne.

Stanisław Bociański
prezes Czytelni gimnazyum św. Jacka.

Brózdą.

Pani Curie-Skłodowska jest przedmiotem ogólno-europejskiego zainteresowania a sprawa jej oprócz kandydatury do akademii francuskiej, dla Polek przykładem jest dobrej służby krajowi i ludzkości. Przyczyną upadku tej kandydatury były tendencye antifeministyczne, bo nikt nie miał wątpliwości, że prace naukowe i zasługi pani Curie godne były tak doniosłego wyjątku, jak wprowadzenie kobiety do akademii. Sława p. Curie wydaje się tak utrwaloną, że opinia o wieku przenosi mimowoli rok urodzenia daleko wstecz poza rzeczywisty 1867. Profesorem fizyki w uniwersytecie paryskim jest jednak p. Curie dopiero od r. 1909. Nie warto wspominać o szeregu nagród, odznaczeń, honorowych tytułów doktorskich, zaproszeń na członka zagranicznych akademii, między innemi nawet Petersburskiej; chodzi o prace naukowe i najważniejsze epokowe odkrycie. Warunki, w jakich ono się dokonało, wskazują na charakter umysłu uczonej, przedewszystkiem wielką sumienność i pilność. Gdy Becquerel odkrył w r. 1896 promieniotwórcze własności połączeń uranu, prosta ciekawość naukowa pytała, czy inne ciała podobnej zdolności nie posiadają. Systematyczne próby przedsiębrane przez p. Curie nad olbrzymią liczbą związków zebrnaych w paryskiem archiwum mineralogicznem doprowadziły w r. 1897 do odkrycia radu w blendzie uranowej z Joachimsthalu w Czechach i uwieńczyły niezwykły trud. Znawca tylko może ocenić doniosłość tego odkrycia. Dość powiedzieć, że zachwiało ono posadami całego przyrodoznawstwa, które dotąd ani w części nie zdołało go opanować.

Żałobne pokłosie.

Przed kilkoma dniami zgasła w kwiecie wieku, bo licząc zaledwie lat 17, ś. p. Mieczysława Kupcówna, uczenica II-go kursu sem. rządowego w Krakowie. Niepospolite zdolności umysłowe, prawość charakteru i prostota prawdziwie anielskiej duszy, zjednywały jej sympatyę i serca każdego, kto, choćby na krótko, miał sposobność zetknąć

się z nią. Z gorącej miłości Boga, ojczyzny i rodziny, z ukochania najszczytniejszych ideałów płynął jasny, nad wiek rozumny pogląd na życie i głębokie zrozumienie obowiązków, spełnianych sumiennie póki sił starczyło. Odeszła cicha, posłuszna woli Najwyższej, aby wyzwolona z więzów ziemi, znaleźć u stóp Chrystusa wieczny odpoczynek.

Nowe książki.

»Nasi u obcych«.

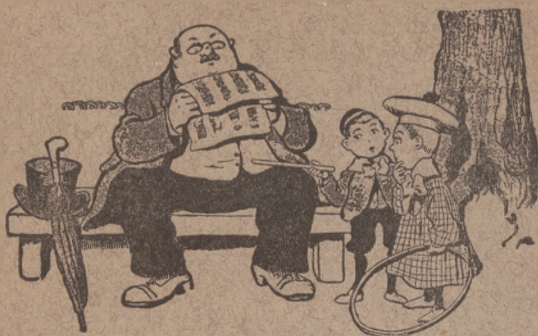
Lamentujemy nad sobą, że jako na nieproduktywność słowiańską przystało, lubimy oglądać obrazki, w najlepszym razie — czytać, a pisze się mało, a już wcale nie o tem, co kraj do żywego obchodzi. Kwestya żydowska, marjawicka, emigracyjna — tyleż dziewiczych lasów nietkniętych piórem statysty, upartego badacza, któryby nas pouczył jak nieoceniony Bujak o Galicyi, albo Brawer (Galizien, wie es an Oesterreich kam. Eine historisch-statistische Studie, über die inneren Verhältnisse des Landes im Jahre 1772). Zato poucza pan Stryjeński kulturalnych czytelników o: Madame de France, filles de Louis XV! (także studyum dla autora o polskiem nazwisku!). Melancholiczna pociecha, że Stanisław Dunin Borkowski wydaje: »Der Junge de Spinoza«, a Artur Buchsenbaum unosi się nad wysoką wartością »Des ganz vortrefflich ausgestatteten Buches«. Giżewski dla szkół wirtemberskich wydaje: »Bildende Kunst u. Literatur«, a Emil Godlewski jun. »Das Vererbungsproblem« w Lipsku.

Niewielka to drzazga odpadła od pnia narodowej roboty, która się snuje pośród literatur obcych. Tymczasem kują nasi młodzi po bibliotekach, ślęczą nad kulawymi stołami i badać będą — co mówię — już badają rzeczy, ludzi, stosunki, o których wiedzieć chcemy przez swoich. Inaczej, drudzy, jak ów p. Brawer będą nam udzielać wiadomości: »Über Josefs II kulturelle Bestrebungen für Galizien«.

Mól.

Odpowiedzialni redaktorowie i wydawcy: Prof. Tadeusz Grabowski i Marya Piechocka.

Z drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.



Jak babcię kocham ileby tu ciastek można pomieścić.